ROZDZIAŁ 19

Patryk 'DUD' Duda

Nawałnica

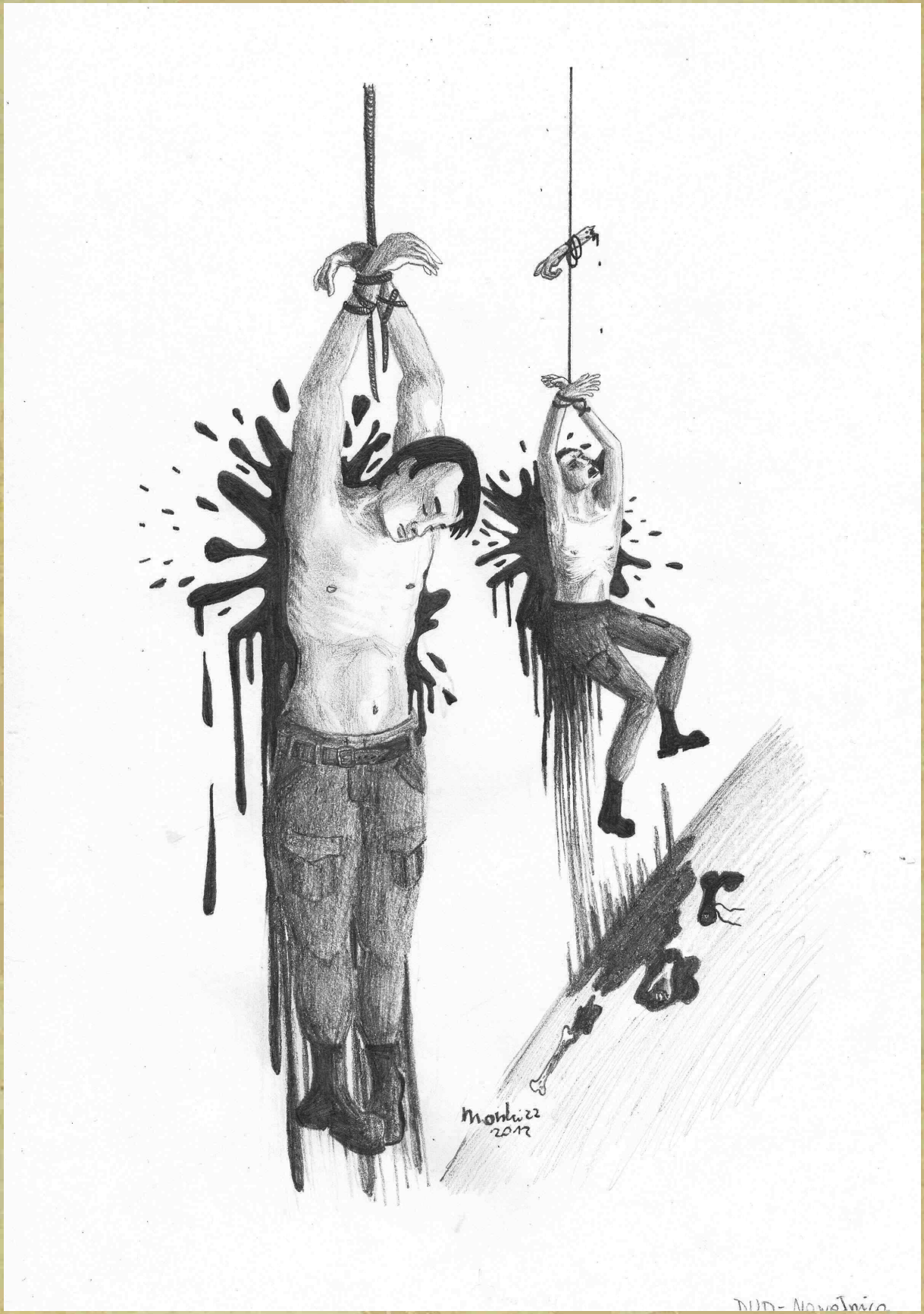

DUD- Nowotnico

Gdy otworzył oczy, znajdował się na skrzyżowaniu Grunwaldzkiej z Kościuszki. Siedział na ławce w środku małego skweru niedaleko wielkiego centrum handlowego. O tej godzinie miasto tętniło życiem. Rzeka samochodów przelewała się przed jego oczyma. Ogromne skupiska ludzi pokonywały ulice to w jedną to w drugą stronę. Słońce w zenicie zalewało cały skwer smażąc swoim żarem wszystkich, którzy nie schowali się w cieniu. Niewyróżniający się z tłumu szatyn siedzący na ławce, ubrany w czarny garniak kontemplował otoczenie. Ludzi i naturę. W szczególności naturę. Zieleń drzew i rosnącą trawę. Zdawało by się jakoby właśnie podziwianie flory sprawia mu największą radość. W pewnym momencie podszedł do niego jegomość w starym obszarpanym płaszczu, od którego smród niemytego mężczyzny dało się wyczuć z pięciu metrów. Prosił o jałmużnę. Elegant wstał, wyjął portfel i po chwili namysłu oddał go z całą zawartością żebrakowi. Sam oddalił się w stronę centrum handlowego. Nie przeszedł nawet połowy dystansu, gdy nagle po niebie rozległ się okropny hałas. Ciągłe wycie syreny, od którego wprost pękały bębenki w uszach. Wszyscy ludzie zatrzymali się patrząc po sobie, po niebie, ich wyraz twarzy wskazywał na to, że nikt nie wie co się dzieje. Sygnał trwał dalej, nie przestawał, był coraz głośniejszy. Nagle ponad wieżowcami miasta pojawił się samolot. Leciał na północ. Po chwili jedyne co dało się dostrzec to wielki błysk. Oślepiający błysk, który powalił wszystkich na ziemię. Później była już tylko śmierć, a towarzyszył jej przeraźliwy wrzask kilkuset umierających osób...

Robert obudził się z wrzaskiem. Kolejny pieprzony koszmar. Miewał je, odkąd jego ojciec opowiedział mu o tym jak wyglądała zagłada ludzkości. Choć sam jej nie widział, zawsze wracała do niego w snach. Ostatnio coraz częściej. W dniu rozbłysku, Robert miał kilka lat. Jego rodzice złapali ostatnie miejsca w schronie przeciwatomowym. Jedno za co był im wdzięczny. Gdyby jego starzy olali sprawę tak jak większość społeczeństwa, podzieliłby jego los. Co prawda matka i ojciec Roberta nie żyli od kilku lat, on kontynuował ich misje. Został lekarzem czy tam jak kto woli sanitariuszem. Wszystkiego uczył się wyłącznie od rodziców. Fachu, sztuki przetrwania i historii.

Zlany potem po ciężkiej nocy, rozpiął śpiwór, ubrał się i wyszedł z namiotu. Słońce już było dość wysoko na niebie. W obozie ruch także był dość spory. Gdy tylko wyszedł z namiotu, zdążył się ledwie przeciągnąć.

W jego stronę leciała konserwa. Gdyby nie w miarę dobry refleks oberwałby w głowę.

— Tomek, kurwa, ile razy Cię prosiłem?!

— Oj, Rob, daj spokój. Musimy być czujni 24 na dobę. Pamiętasz co mówił szef? Nie wiadomo co albo kto wyłazi z tych ruin i musimy się pilnować. Ale spokojnie, podobno dziś ruszamy. Ty idziesz z nami. Słyszałem twój wrzask. Znowu ten koszmar?

— Taaa, już mam tego dość.

— A kiedy spełnisz moją prośbę i opowiesz mi jak wyglądał świat przed wybuchem?

— Wolałbym o tym nie mówić, nie teraz, naprawdę, ale obiecuję, że kiedyś na pewno ok? A i dzięki za żarcie. - Nie czekając na odpowiedź Robert obrócił się na pięcie i zniknął w swoim namiocie. Ostatnio usłyszał plotkę, że kończy się żarcie. Więc spokojnie i powoli delektował się konserwą Paprykarza Szczecińskiego a także rozmyślał nad tym co dowiedział się od Tomka. Z tego co opowiadali mu rodzice, kilka tygodni po wybuchu ludzie zaczynali wychodzić ze schronów. Przeważnie większość szła za jakimś charyzmatycznym liderem. Teraz żyją w obozach takich jak ten, w małych osadach albo w ruinach. Wielu się zmieniło i wiodą teraz życie pieprzonych bandziorów. Uzbrojonych i niebezpiecznych. Niestety po wojnie padły wszystkie środki jakiejkolwiek łączności więc nie wiadomo co się dzieje w innych miastach i państwach. Ostatnio strażnicy z obozu zatłukli jakiś gówniarzy z dawnej Gdyni, którzy jakimś cudem znaleźli się pod naszym obozowiskiem i nie przejawiali pokojowych nastrojów. No i pozostawał jeszcze problem popromiennych. Z nimi zawsze będzie chyba kiepsko. Agresywni, mięsożerni, co najgorsze – jedzą ludzi. Dobrze, że jedna kula między oczy wystarczy żeby ich uspokoić. Podobnie przerypana okazała się kwestia starego świata przed rozbłyskiem. Ludzie tęsknią do tych czasów. Tęsknią za tym, co stracili. Dlatego właśnie panuje niepisana zasada. Nikt nie rozmawia o tym głośno. Tylko psuje morale. A morale to coś, czego wszyscy potrzebują równie bardzo jak jedzenia, picia i amunicji.

W połowie konserwy Robert usłyszał głośne „ODPRAWA!”. Nie pozostawało mu nic innego jak dokończyć później. Szef wzywał, a jego rozkazów nie lekceważył żaden mądry człowiek. W największym namiocie, ochrzczonym na „sztabowy”, siedziała już prawie całą siła zbrojna tego obozu. Na środku tego wszystkiego stał wysoki i dość barczysty, łysy mężczyzna. Stare, wojskowe ubranie rodem z poligonu

pasowało do jego i jego charakteru, choć podobno nigdy żołnierzem nie był. Szef. Tak kazał na siebie mówić.

— ...dobra. Dzielimy się na 5 grup. 2 uderzeniowe, 2 ciężkiego wsparcia . Ostatnia to będą medycy i pomoc techniczna. Jedziemy do tych pieprzonych ruin i po pierwsze zabijamy każdego pieprzonego popromiennego, jakiego zobaczymy. Ktokolwiek tam siedzi i okaże wrogie zamiary, kula w łeb. A i pamiętajcie, te ruiny to jakaś stara szkoła czy coś w ten deseń. Po wygranej bitce będziemy plądrować ten budynek. Szukamy książek, leków, zawartości apteczek i wszelkiego możliwego oręża i czegokolwiek co może okazać się przydatne. Choć miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Amunicji coraz mniej. A teraz rozejść się. Zbiórka punkt południe przy samochodach. - Szef kończył zdanie wychodząc z namiotu „sztabowego".

I tak to się wszystko zaczęło. Wielkie ruiny starej szkoły znajdowało się na skraju miasta zaraz przy lesie. Kilkanaście kilometrów od obozu. Zwiadowcy mówili o zmutowanych zwierzętach, ludziach, brutalnych i zwierzęcych złodziejach czy innych brudasach żerujących na innych. Jedno było pewne cokolwiek tam siedziało, zbliżało się coraz bliżej do obozu. Cokolwiek tam siedziało, zabijało a ciała zamordowanych zapadały się pod ziemie.

Ruszyli punktualnie w południe. Szef uwielbiał jak wszystko idzie zgodnie z jego planem. Pięć ciężkich terenowych samochodów ruszyło przez las zostawiając za sobą dom. Jechali w zgliszcza dawnego miasta o zapomnianej przez nich samych nazwie. Dwa wojskowe pordzewiałe Hummery, dwie Navary i jeden Grand Cherokee zatrzymały się na skraju lasu. Już tutaj widać było pierwsze ruiny, pozostałości po małych domkach. Pojedyncze ściany, niekiedy z odpadającym tynkiem. Zostawili konwój z uzbrojonymi kierowcami i wszystkie drużyny ruszyły zgodnie z planem. Pierwszy ruszył oddział dowodzony przez szefa. Robert nie widział co się dzieje dalej, ponieważ jego ekipa poszła za innymi. Uzbrojeni w zniszczone Beryle, pistolety maszynowe i pomniejsze pukawki pamiętające czasy roku 2011, ubrani jak amatorzy militariów niepotrafiący dobrać odpowiednio strojów. Nieznający podstaw taktyki wojskowej. Oddziały szturmowe, kurwa jego mać, a ja jestem baletnica, tylko taka myśl przychodziła Robowi do głowy, gdy widział ten cały oddział. Ale zmierzali w stronę ruin. Wszystko według planu. Niestety nie mogło być zbyt pięknie. W połowie drogi usłyszeli strzały, wrzaski i inne niezidentyfikowane odgłosy. Musieli przyspieszyć. Gdy dotarli na miejsce

panowała tam istna jatka. Krew, flaki, kurz i wrzaski umierających. I to było to co Rob umiał robić najlepiej. Wyjął swój niezbędnik medyczny, a w drugiej dłoni trzymał naładowany pistolet. Rozejrzał się szybko po polu bitwy i ruszył do pierwszego rannego. Był to Bart. Leżał za jakimiś beczkami z kulą centralnie w obojczyku. Darł się okropnie. Rob zdzielił go w twarz po czym zaaplikował morfinę. Dalej poszło z górki. Gdy załatwił sprawę poleciał do następnego i kolejnego i jeszcze innego. Gdy biegł do konającego dowódcy drugiej grupy uderzeniowej ten wkładał sobie pistolet do ust. Robert szybko wyszarpnął go swojemu kamratowi, po czym coś zwaliło go z nóg. Instynktownie odwrócił się na plecy i strzelił zdobytym przed chwilą pistoletem. Trafił w zbliżającą się do niego dłoń. Dłoń obrzydliwie śmierdzącego, pokrytego licznymi brodawkami i bliznami, monstrualnego popromiennego. Gdy monstrum cofnęło się Rob nie tracił czasu i walił w niego ołowiem jedna kula za drugą przy akompaniamencie swojego własnego krzyku pełnego nienawiści. W końcu, gdy bydle padło, sanitariusz zabrał się do roboty. Odrzucił zdobyczny pistolet i zabrał się do roboty. Po chwili usłyszał wrzask Szefa „ODWRÓT!”. Dźwignął rannego na plecy i ruszył w kierunku ewakuacji swoich towarzyszy. Jednak coś było szybsze od niego. Poczuł zaciskający się wokół jego kostki chwyt. Ostatnie co widział to swojego kumpla Tomka, którego powala jakieś bydlę i innych, którzy wycofując się, strzelają pojedynczymi pociskami do wroga. Później nie widział już nic...

Znowu siedział na ławce. Tym razem w podartym mundurze polowym armii amerykańskiej, w którym ruszał na misję. Park był ten sam, co ostatnio. Okolica się za to diametralnie zmieniła. Wszędzie walał się gruz. Ulice zawalone były pustymi wrakami samochodów bez szyb. W niektórych można było dojrzeć szkielety tych co nie zdążyli z nich uciec. Mężczyzna wstał z ławki. Tutaj nie było czego podziwić. Zieleń opuściła to miejsce wraz z innymi miłymi aspektami życia oraz wartościami, którymi kierowali się ludzie. Poszedł w stronę starego centrum handlowego. Szkielet budynku pozostał nietknięty. Gdy wszedł do środka jego oczom ukazało się coś potwornego. Na dawnym parterze, do którego zjechać można było ruchomymi schodami, leżało mnóstwo ciał. Zmutowanych, powykręcanych abominacji przypominające zwierzęta niż ludzi, którymi kiedyś byli. Popromienni. Najgorsze obrzydzenie wzbudzał fakt że były to ich samice. A on znajdował się w ich wylęgarni. Wylęgarni popromiennych mutantów...

Gdy obudził się, siedział pod ścianą ze związanymi u góry rękami, przymocowanymi do czegoś. Cały sprzęt poszedł w pizdu. Miał na sobie tylko spodnie i buty. W pomieszczeniu, w którym przebywał było cholernie zimno. Gdy rozejrzał się, zobaczył, że nie jest sam. Widział tu Tomka, dowódcę, którego dźwigał na plecach w czasie jatki i paru innych chłopaków z obozu. Wszyscy skrępowani i nieprzytomni. Nie zdążył się porządnie rozeznać w sytuacji, gdy drzwi od pomieszczenia otworzyły się a do środka weszła postać w kombinezonie przeciwchemicznym i masce przeciwgazowej. Towarzyszyło mu dwóch uzbrojonych drągali. Również w maskach. Jegomość wskazał palcem na jednego z pojmanych, po czym jego goryle posłusznie zdjęli okowy i wyprowadzili więźnia z pomieszczenia. Nie minęło kilka minut, gdy w zimnej celi Robert usłyszał wrzask, któremu akompaniował niski śmiech a po sekundzie dwa strzały. Prawdopodobnie pistolet. Dranie, zrobili sobie z niego cyrk, po czym go zajebali, tak po prostu. Tomek zaczął dochodzić do siebie.

— Co jest, kurwa, gdzie ja jestem?! Po... - praktycznie zaczął wrzeszczeć, ale Robert w porę przerwał mu syknięciem.

— Zamknij mordę! - szepnął Rob – Nie wiem, co jest tutaj grane, ale jak czegoś nie wykombinujemy to zrobią z nas kaszankę. Mocno cię związali?

— Dość, nie czuję palców... kurwa... za mocno ścisnęli, mam dłonie do amputacji... kurwa ... - mamrotał.

Nie panikuj, nie panikuj spokojnie. Próbował się uspokoić w myślach Rob.

— Hej, Rob – zaczął szeptem Tomek – pamiętasz jak mi obiecałeś opowiedzieć o Twoich snach? Proszę zrób to .

— Nie ma mowy, musimy zachować trzeźwość umysłu. Nie możemy sobie pozwolić na bujanie w obłokach, nie teraz!

Ledwie skończył mówić i do pomieszczenia znowu wkroczył komitet powitalny. Gdy tylko jegomość w płaszczu zobaczył przytomnych chłopaków wskazał na nich. Jego drągale błyskawicznie zajęli się Tomem i Robem. Gdy któryś z nich tylko zaczął coś mówić obrywał porządnie w twarz. Ciągnęli ich po jakiś korytarzach. Obślizgłych i brudnych. Mijali różne pomieszczenia. Czasami Robertowi udało się podejrzeć co nieco. Tutaj był arsenał z giwerami, tutaj jakieś sypialnie, a tam jakieś aparatury. Po krótkim spacerze znaleźli się na otwartej przestrzeni. W ruinach. Robert poznał od razu zgliszcza ze swojego snu. Była tylko jedna

subtelna różnica. Wszyscy popromienni znajdowali się za ogrodzeniem, tuż u jego stóp. Ogrodzenie było pod napięciem. Gdy chłopak rozejrzał się wkoło zobaczył że wygląda tutaj trochę jak w koloseum. Na podwyższeniu na którym się znajdowali było coś na wzór ławek, na których zasiadali jacyś ludzie. Całkiem sporo ludzi. Uzbrojonych, starszych, młodszych, nawet małe dzieci. Wszyscy ubrani jak dawni cywile, tyle że trochę obszarpani i strasznie brudni.

Gdy tylko pojawili się na podwyższeniu mutanci zaczęli skandować: „CHCEMY KRWI". Brzmiało to o tyle strasznie, że u ich stóp kłębiły się te pieprzone poczwary. W ich oczach widać było dwie rzeczy. Żądzę mordu i głód. Pierwszy poleciał Tomek, Nagle i bez ostrzeżenia. Gdy został wypchnięty zdążył podnieść się na klęczki i wydać z siebie potworny pisk. Szybko ucichł gdy jeden z oprawców zębami wgryzł mu się w gardło a po chwili odgryzł całą głowę uciekając do konta ze zdobyczą. Reszta bestii zrobiła to samo ze swoją zdobyczą. Wtem na trybunach podniósł się dziki ryk i śmiech.

— Widzisz, chłopcze – zaczął jegomość w kombinezonie – tak kończą takie nędzne ludziki jak Ty i twoi nędzni koleżkowie. Tak kończą łajzy, które nie chcą się nam podporządkować. Woleliście bawić się w jebanych skautów w lesie to my zrobiliśmy z was jedzenie dla naszych pupilków. OOO tak, to nasze dzieło. Opanowaliśmy sztukę kontrolowania tych kreatur. Nie jest to takie trudne jak na początku się zdawało. A teraz bądź tak uprzejmy i wykaż tam na dole trochę więcej determinacji do życia niż ten twój pizdusiowaty kolega.

Niestety Robert nie zdążył już nic zrobić, bo drągal, który trzymał go za włosy w tej właśnie chwili zepchnął go prosto w siedlisko popromiennych. Gdy Rob rozpłaszczył się na ziemi błyskawicznie się podniósł, i rzucił się na podłużny kawałek gruzu. Nie wiedział nawet po co to robi. Ujął go w dłoń niczym pałkę baseballową i przygotował się. Na jego szczęście popromienni byli zajęci jedzeniem jego kolegi ale powoli zaczęli pojawiać się nowi, głodni. Wychodzili ze swej czeluści, gdzieś z piwnic czy cholera wie, czego. Pierwszy skoczył z czterech łap niczym pies rzucający się na oprawcę. Prosto do szyi. Robert machnął na oślep. Uderzył prosto w łeb kreatury. Drugi i trzeci atak także udało mu się odeprzeć, lecz nagle poczuł za plecami litą ścianę. Z rozpaczą w oczach cisnął kawałkiem gruzu w następnego i zaraz po tym rzucił się z gołymi rękami na jedną z kreatur. W tle słyszał wrzaski i dopingi ludzi na trybunach. Nagle skandowania i powszechna radość przerodziła się we

wrzask i panikę. Ale tego Robert już nie widział i nie słyszał. Nie było mu dane zobaczyć uzbrojonych helikopterów prujących w strażników i innych ludzi. Ubranych na czarno żołnierzy z bronią maszynową którzy wkraczają do ruin. Kul, które zaczęły zabijać popromiennych. Robert zemdlał, kiedy jeden z nich wyrywał mu ramię ze stawu. Ból był tak okropny, że nie wytrzymał. Zawiódł przyjaciela, siebie i swoich rodziców. Ale teraz nic się już nie liczyło...